XXIV. Kraków, 15 maja 1921 r. Nr. 10.

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przes. poczt. 91 M. 20 f. Do Ameryki rocznie 3 dolary.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 63 (dom własny). Telefon Nr. [illegible]

W Krakowie [illegible]

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Biuro dzienników „Promień" Łódź, Piotrkowska 81.

CENY OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitowy jednoszpaltowy na stronie inseratowej Mrk. 5·—, na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mrk. 8·—, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy Mrkp. 10·—, za wiersz petitowy w części redakcyjnej Mrkp. 20·—.

Numer pojedynczy 16 Marek. Redaktor: K. Krumłowski. Numer pojedynczy 16 Marek.



Serce, nie sługa, nie zna co to pany...
Lecz tylko wtedy, gdy portfel wypchany,
A gdy z monety nie zostały ślady,
Trzeba rzec smętnie: „Trudno! nie da rady"!...



Z dziejów starego Krakowa.

Miał swojego czasu, starsi dobrze to pamiętają, swój sklepik przy ulicy Brackiej pewien szklarz, o którym potem mówiono, że tak, jak król Kazimierz Kraków wymurował, prezydent Leo wyasfaltował, on go oszklił. Firma ta cieszyła się w samej rzeczy ogromną wziętością w całej nadwiślańskiej stolicy.

Pewnego dnia zgłasza się do sklepu jakaś pani, która w nieobecności męża, będącego gdzieś na robocie, przyjmuje zaraz szklarza...

— Chciałabym, aby mi majster wprawił kilka szyb — mówi pani.

— Dobrze!... — majstrowa na to — Niech pani godna zostawi swój adres, a mój mąż tam przyjdzie... Co tylko go nie widać!...

— Czy jednak robota będzie porządna?...

— Niech się pani nie obawia... Mąż mój to jest pierwszy szklarz w Krakowie... Taką kitę, jak on, to nie ma żaden inny... Pani się sama może o tem przekonać... Kamienica się zwali, a szyby, które on wprawił, zostaną. Jak on co robi, to zawsze solidnie... Ja się sama już o tem przekonałam.

● ●

Mądry Jojne.

Nauczyciel zaznajmiając swych uczniów z trzema rodzajnikami, powiedział między innemi, że każda istota męska, lub taka, którą sobie przedstawiamy, jako posiadającą cechy, właściwe mężczyznom, jest rodzaju męskiego i w odniesieniu do niej używa się zaimka „ten“.

— A dlaczego się mówi ta — picer?... — pyta ciekawie mały Jojne.

Bieg okrężny „Illustrowanego Kuryera Codziennego“

Bieg okrężny wokół miasta,
Chce urządzić „Kuryerek“,
By, sportowe wzbudzić życie
I waryatów zwiększyć szereg.

Pierwsza meta wyznaczona,
W dzień pogodny przy niedzieli,
Od redakcyi „Kuryerka“,
Do teatru „Bagateli“.

Dla zwycięzcy tych zawodów,
Gdy mu wygrać los pozwoli,
Będzie puhar, albo lepiej
„Perła, co ma kształt fasoli“.

Hopsa! hopsa! hej! biegacze!
Rozpuszczajcie swe pedały!
Na wezwanie „Kuryerka“,
Lećcie tam, na pole chwały.

W tym obywatelskim trudzie,
Niech wam myśl przystwiecа wzniosła,
Że ten bieg był wykonany
Chlubnie — przez jednego osła!...



W trafice.

— Panie łaskawy!... Ogromnie mało w tej paczce tytoniu!...

— Być może!... Ale jest zato mokry, będzie się zatem dłużej palił...

* * *

— Panie łaskawy!... W tej paczce tytoń jest ogromnie wilgotny ..

— Zato jest go mało!... Nie będzie się pan dobrodziej długo irytował, a tytoń prędzej wyschnie...

○ ○



Zjazd dyrektorów w Warszawie.

Różne były Zjazdu próby:
Jaky wziąść aktorów w kluby,
I — (poufnie o tem wiemy),
Jak aktorom ściąć tantyemy.

Poruszali różne sprawy:
Lorentowicz Jan z Warszawy,
Teoś Trzciński od Krakowa,
I Wiśniowski, mądra głowa.

Jeden — nie chciał być na froncie,
Jeden tylko — siedział w kącie:
Nie Gorczyński, bo gaduła,
Ani Siemaszkowa czuła.

Jeden tylko w tym chaosie
Siedział cicho, dłubiąc w nosie,
(Przysięgali, co widzieli...),
Pan dyrektor z „Bagateli“...

W szkole.

— Tyrtalski! powiedz mi poczem rozróżniamy rodzaj męski od żeńskiego?

Uczeń. — Bo rodzaj męski nosi, proszę pana profesora długie majtki, a rodzaj żeński krótkie i to do tego obszywane koronkami!



Przez jeden dzień milionerem.

(HISTORYA OMAL ŻE NIE PRAWDZIWA).

Było to w poniedziałek rano, jeszcze przed ósmą. Pan Safandulski, urzędnik jednej z krakowskich instytucyi, spoczywał wygodnie, rozmyślając nad tem, które oko ma najpierw otworzyć, lepsza jego połowa, pani Barbara, zajętą była w kuchni przygotowaniami do śniadania i oczekiwaniem na posługaczkę, która powinna była już nadejść z mlekiem, chlebem i *Kuryerkiem*.

Po chwili rozległo się w samej rzeczy pukanie, skrzypienie drzwi, głosy dwu rozmawiających ze sobą niewiast, poczem nastała cisza.

W minutę, lub dwie, wpadła do pokoju pani Barbara, jak bomba, trzymając w ręku *Kuryerka* i wołając głosem, który mógł nawet i umarłego obudzić z wiecznego snu:

— Wygraliśmy!...

I, skutkiem nadmiernego wzruszenia, osunęła się na starą otomanę, aż sprężyny boleśnie zajęczały, a równocześnie zerwał się z posłania na równe nogi jej małżonek...

— Pokaż!... Nie może być!... — mówił, własnym uszom nie wierząc.

Podała mu gazetę, ukazując na artykuł, zatytułowany „Nowi milionerzy“, a brzmiący, jak następuje:

...Przy wczorajszem ciągnieniu milionówki padła wygrana na numer 0005349. Numer ten sprzedany został w Krakowie. Kto jest szczęśliwym posiadaczem, nie udało nam się dotąd stwierdzić...

— Tak!... — powtarzał pan Safandulski...— 5, 3, 4, 9... jak byk... przedtem trzy zera... To nasz numer, ale na wszelki wypadek należy jeszcze sprawdzić...

— Nie potrzeba!... — oświadczyła pani domu. — Ja się nie mylę... Ja sobie go dla pamięci zanotowałam w różnych miejscach... na ścianie, na szafce, na drzwiach...

Pan Safandalski podszedł przecież do biurka, wyciągnął szufladę, a z niej obligacyę i przekonał się, że jest tak, a nie inaczej.

Równocześnie nadbiega z sąsiedniego pokoju jedyna latorośl państwa Safandulskich, która zapiekała sobie właśnie loczki, a dowiedziawszy się o szczęściu, jakie spadło na rodzinę, zawołała:

— Kwita z naszych zaręczyn, panie Koziołkiewicz... Nie głupia jestem wychodzić za jakiegoś golca, gdy mi się teraz może trafić prawdziwy baron lub jaki podupadły książę...

— Nie bez racyi śniły mi się kiedyś wszy — zabrała głos pani Barbara. — To pewny znak, że będą pieniądze... A czyja w tem zasługa?... Tylko moja!... To ja namawiałam ciągle, że trzeba kupić... milionówkę...

— Nie gadaj!... — bronił się pan domu. — To był mój pomysł, a ja mam szczęście do wszystkiego, do czego się wezmę...

Matka i córka spojrzały na niego z politowaniem, on zaś ciągnął dalej:

— Poświęciłem na to zeszłoroczną trzynastą pensyę, choć chciałaś, aby ci za nią kupić kapelusz... Ale mniejsza z tem. Grunt, że się skończy to dziadowanie... Już ja będę wiedział, jak sobie mam urządzić życie...

— O!... I ja także!... — dorzuciła matka i córka.

— Czy jednak nie zachodzi pomyłka?... — westchnął.

— To wykluczone!... Redaktorzy robią z takich artykułów bardzo dokładną korektę!... Tydzień rozpoczął się pod dobrą wróżbą!

Odbyła się krótka narada familijna, na której postanowiono, że ojciec ma się zająć wystaraniem się tymczasowo o pieniądze, zanim wypłacą wygraną, mama zaś z córką postanowiły zawiadomić o szczęściu przyjaciółki, wiedząc o tem, że niejedna z nich przypłaci to zdrowiem.

Obiad ma być także, jak na milionerów przystało.

Pan Safandulski spóźnił się tego dnia do biura, a gdy mu radca zrobił z tego powodu cierpką uwagę, rzekł:

— Ja panie radco, jeśli będę odtąd chodzić do biura, to tylko z łaski... Ja gwizdam na taką marną posadę, gdy zostałem milionerem....

I opowiedział o szczęściu, jakie go spotkało, wobec czego zmiękł nawet radca i sam proponował wzięcie trzydniowego urlopu, celem załatwienia formalności, połączonych z podjęciem wygranej.

Nie opierał się też bardzo, choć znany był z ciężkiej ręki... gdy pan Safandulski poprosił o zaliczkę na płacę w kwocie pięć tysięcy marek, którą zobowiązał się... pod słowem zwrócić zaraz po odebraniu miliona.

Radością pana Safadulskiego przejęło się też całe biuro, wobec czego nie pozostawało do zrobienia nic innego, jak zaprosić kochanych kolegów na skromną przekąskę!...

Pękła z tego powodu cała prawie zaliczka, na wszelki wypadek pożyczył zatem pan Safandulski jeszcze trzy tysiące od jednego z kolegów, który naturalnie milionerowi nie odmówił tej drobnej przysługi.

W złotym humorze powrócił pan domu pod dach rodzinny, odprowadzony aż do bramy przez kolegów. Spóźnił się nieco, ale był pewnym, że dziś chyba z tego powodu „stara“ nie zrobi mu awantury!...

I nie pomylił się... Zastał ją przed lustrem, przymierzającą nowy kapelusz...

— A co?... Prawda, że mi w nim do twarzy?... — zapytała pani Barbara wchodzącego.

— Pewnie wzięłaś na kredyt?..,

— Skądże znowu!...

— Miałaś zatem pieniądze?...

— Tak!... Nawinął się handeles, sprzedałam

Z notatek reportera.

Cudowne ocalenie. Wczoraj przed południem urwał się gzyms na jednej z kamienic przy ulicy Sławkowskiej. Nasz redaktor naczelny uniknął tylko cudem niebezpieczeństwa, gdyż w tej samej chwili przechodził ulicą Sławkowską.

* * *

Nowa kometa. Jak komunikują nam z Obserwatoryum astronomicznego, wykryto na nieboskłonie w pobliżu gwiazdy polarnej nową kometę. Należy ona do rzędu wojennych, nie posiada bowiem warkocza... Jasny to dowód, że nawet w niebie panują opłakane stosunki opałowe i oświetleniowe.

* * *

Sprostowanie. Konstatujemy z całą lojalnością, aby nie dać powodu do fałszywych przypuszczeń, że zamieszczona w naszme piśmie notatka kronikarska o ośle, który się wyrwał z pewnego domu przy ulicy Basztowej, a złapany został dopiero koło „Bagateli“, nie odnosiła się bynajmniej do któregoś z członków znajdującej się przy tej ulicy redakcyi. Mieliśmy wówczas na myśli osła czworonożnego, nie dwunożnego. Red. „Gońca“.

Z dawnych czasów.

Był w Przemyślu swojego czasu komendantem korpusu jenerał Galgotzy, znakomity strategik, który na manewrach ani jednej wojny nie przegrał. Znano go ponadto z jego rozmaitych dziwactw, zwłaszcza we wydawaniu rozkazów był bardzo lakoniczny i wymagał, aby się do nich stosowano bezwzględnie.

Pewnego razu wezwał on do siebie proboszcza wojskowego i tak doń się odezwał:

— Jadę na urlop. Za trzy tygodnie mój ślub, powrócę za miesiąc już ze żoną... Proszę ogłosić zapowiedzi publicznie, jak się należy, ale tak, by się nikt o tem nie dowiedział... Oto papiery!...

— Stanie się podług rozkazu ekscellencyi— proboszcz na to.

Po miesiącu powrócił jenerał do Przemyśla, ku wielkiemu zdziwieniu ogółu, ze żoną.

W kilka dni potem wezwał znów proboszcza i pyta:

— Zapowiedzi ogłoszone?

— Według rozkazu ekscellencyo — ten mu na to.

— A jak to ksiądz urządził, bo widocznie nikt się o tem nie dowiedział, skoro mnie nie prześladowano telegramami gratulacyjnymi.

— W zupełnie prosty sposób ekscellencyo... Zwołałem do trupiarni kilkunastu ludzi, którzy nie władają żadnym innym językiem, prócz węgierskiego i ogłosiłem tam wobec nich zapowiedzi po czesku...

Plecy.

Na audyencyę u namiestnika Galicyi hr. Badeniego, zgłosił się pewien urzędnik z prośbą o przeniesienie do innego miasta, z którem łączyły go familijne stosunki.

Namiestnik wysłuchał petenta i obiecał, że w sprawę tę wglądnie. — Ten skłonił się i skierował ku drzwiom.

Mimowoli rzucił hr. Badeni za nim okiem i zobaczył ku wielkiemu swemu zdumieniu, że frak petenta pozbawiony jest zupełnie pleców.

— A gdzież pańskie plecy? — zapytał namiestnik ciekawie.

— Niestety niemam ich!... — odparł zapytany. — Gdybym je miał, już dawno byłbym przeniesiony.

I podobno ten figiel się udał... Do dwu tygodni spełniło się życzenie urzędnika.



Burmistrz z Gródka Jagiellońskiego.

Zamknęli do kozy...
O! wstydzie i smutku!
Zamknęli burmistrza
W Jagiellońskim Gródku!

Cóż, że łapóweczki
Brał, no i tak dalej?
To jest grzech i wina
Tych, co mu dawali!

Więc nie potępiajmy
Burmistrza w tej chwili,
Aby też przypadkiem,
Nas nie potępili.

Ktoby źle go sądził,
Byłby oryginał,
Wszak każdy magistrat
Jest jeden kryminał!

Zrozumiał.

Znany ze swego dowcipu i zawsze pogodnego umysłu Wojciech hr. Dzieduszycki, bawił raz w gościnie u swych znajomych.

Podczas śniadania podano jaja na miękko. Przy tej sposobności gospodyni zwróciła się do służącego z uwagą:

— Tyle razy już zwracałam Tomaszowi uwagę, aby nie podawał srebrnych łyżeczek do jaj na miękko...

— A dlaczego? pani dobrodziejko — podchwycił hr. Dzieduszycki.

— Bo srebro od miękkich jaj czernieje — odpowiedziała.

Na to hr. Dzieduszycki uśmiechnął się pod wąsem i mruknął do siebie:

— Teraz dopiero rozumiem, dlaczego moja srebrna papierośnica tak zczerniała... Trzeba ją będzie odtąd nosić w innej kieszeni...

To rzekłszy, wyjął ją z lewej kieszeni spodni i schował na piersiach...

---

zatem dwa garnitury twoje, ten szary i granatowy... Narzekałeś, ze są zbyt obszerne... Każesz sobie zrobić nowe, bo to nawet nie wypada, aby milioner ubierał się ladajako...

— Szkoda mi tych ubrań... Materya przedwojenna.

— Nie kłopocz się. I powojenne nie są gorsze... Kosztują wprawdzie więcej, ale cóż to za różnica dla milionera jakieś głupie parę tysięcy...

— I to prawda!... Zaraz popołudniu pójdę do krawca i zamówię ze dwa garnitury i zarzutkę.

— I ja pójdę z tobą!... Po drodze wstąpimy do Schreiberki i kupisz mi żakiet, a dla Mani kostyum wiosenny...

— Czy jednak na to na razie wystarczy?... Mam przy sobie zaledwie parę tysięcy...

— Głupstwo!... Dasz zaliczkę, resztę się doda po odebraniu pieniędzy. Schreiberka już wie o wygranej...

Obiad spożyto w podniosłym nastroju, znalazło się nawet wino, którego pół butelki zostało od uroczystości zaręczyn Mani.

Jeszcze rodzina siedziała przy stole, gdy zjawiła się ciocia Femcia, stara panna, która z Safandulskimi zerwała swojego czasu stosunki rodzinne. Stało się to z powodu, że pan Safandulski ośmielił się kopnąć brutalnie jej ulubionego mopsa, który mu się zbyt naprzykrzał. Zaprzysięgła się wówczas, że noga jej w domu Safandulskich nie postanie i że ich wydziedziczy, cały zaś majątek obróci na ufundowanie schroniska dla opuszczonych psów. Zapomniała jednak w tak ważnej chwili urazy i przybyła, aby im pogratulować, oświadczając nadto gotowość służenia im zaliczką w kwocie dziesięć tysięcy marek, z czego oczywiście skorzystano skwapliwie.

Po odejściu cioci przewinęła się cała galerya przyjaciółek, które pani Barbara zawiadomiła uroczyście, iż odtąd przyjmuje w każdy czwartek popołudniu, następnie zaś wybrała się cała rodzina na zakupna, zamówienia itd. Powrócili objuczeni różnymi drobiazgami po to tylko, by się przebrać, poczem udano się do teatru, gdzie pan Safandulski zamówił lożę, stąd na kolacyę do Pollera, a że znalazł jeszcze trochę czasu i pieniędzy, do Esplanady... Pan Safandulski byłby wolał mieć dziś około siebie jakąś wesołą damulkę, a nie „swą starą“, pocieszał się przecież nadzieją, że w przyszłości będzie inaczej. Pani Safandulska z prawdziwem mistrzowstwem odgrywała rolę milionerki, jak gdyby w samej rzeczy przyszła na świat w domu jakiegoś bogacza, a nie bednarza z Grzegórzek.

Późną nocą wrócili do domu w przekonaniu, że dzień spędzono uczciwie, jak na milionerów przystało. Pan Safandulski śnił o wesołej zabawie w damskiem towarzystwie, dlatego zrywał się często, pani Safandulska widziała się już posiadaczką drugiego miliona, mającego paść na następną „milionówkę“, którą postanowiła nabyć zaraz nazajutrz, skoro tydzień rozpoczął się pod tak dobrą wróżbą...

A panna Mania?... Panna Mania widziała się już „jaśnie wielmożną baronową“, robiącą furorę w teatrze, na wyścigach, otoczoną rojem wielbicieli...

I było im wszystkim tak dobrze, że nie czuli nawet zbyt energicznej ofenzywy pluskiew, które widocznie powiadomione o ...awansie swych państwa, chciały się należycie uraczyć krwię „milionerów“...

Rano udali się obydwoje państwo Safandulscy do Kasy pożyczkowej, aby zgłosić wygraną i dowiedzieć się, kiedy można odebrać pieniądze.

Urzędnik oglądnął obligacyę, wreszcie zauważył:

— Tu zaszła pomyłka, panie łaskawy... Na ten numer nie padła wygrana!...

W oboje Safandulskich jak gdyby ugodził piorun...

Pani Safandulska wyjęła z torebki wczorajszego *Kuryera* i podała go urzędnikowi...

— Czarne na białem!... — dodał od siebie pan Safandulski.

— Tak!... — urzędnik na to. — Końcowe cyfry się zgadzają, na początku jest jednak jedynka, nie zero... Wygrał nr. 1005349, a nie 5349...

Milcząco spojrzeli Safandulscy na siebie, potem na urzędnika, a widząc, że nie żartuje, odeszli, lecz z minami zupełnie innemi, niż tu wchodzili...

— A co?... Ładnie wygląda to twoje szczęście do wszystkiego, do czego się weźmiesz — mruknęła z przekąsem pani Barbara...

On na to nic nie odpowiedział, gdyż rozsadzały nim głuche myśli, skąd wziąć na to, aby pooddawać długi, jakie się porobiło w oczekiwaniu miliona...

— Żal mi najbardziej tych dwu garniturów... — rzekł z bólem.

— Ja jednak mam dzięki im kapelusz!... — odpowiedziała... — No!... Nie martw się!... Jeżeli masz w samej rzeczy takie szczęście, jak się chwalisz, to wygramy z pewnością w najbliższą sobotę... Te wszy śniły mi się nie na darmo!...





— Chciałbym urządzić pani pracownię!... Czego najbardziej potrzebujesz?
— Dobrego pędzla!...



Rzeźniczka *do pomocnika:* — Moja polędwica jest droga, ale dobra!... Jak pan myśli? Możeby ją do okna wystawić?



— Cobyś zrobiła moja droga, gdyby nasze gniazdko wojsko nam zarekwirowało?
— Zostałabym tu na straży domowego ogniska!



„Pięknym jest śpiewaczki stan,
„Gdy ją wspiera jaki pan,
„Ale brzydko, gdy zostanie
„Z tego stanu — *w innym stanie*"!...



— Tak, proszę pana i służąca ma serce i duszę!

— Nie przeczę, moja Róziu!... i ty masz serce, ale gdy dostaniesz na dokładkę od rzeźnika i masz duszę, ale w żelazku do prasowania!



— Czy hrabiego Bzikiewicza zaprosić na nasz bal, mężulku?

— Zaproś!.. Hrabia kocha się w tobie i ma strasznego pecha w kartach!... On za ten bal zapłaci!



— Schudłam panie doktorze, coby robić na to?

— Wyjść za mąż, łaskawa pani!



— Mamusiu! czy bona ma skrzydła?

— Jakto, moje dziecko?

— Bo tatuś powiedział do niej, że jest aniołem!...

— Tatuś miał rację!... Bona jest aniołem i dlatego dziś z domu wyleci!

Ferdek Eleuteryk.



Dotąd mi moja Mańka była makówę susząco, że ma być koniecznie panią radczynią, a powiedziałem se, raz kozie śmierć i kandeduję do Rady miejskiej, jako że zrobił się plac, bo niektóre radce zgłosiły rezygnacyję, widzący że to dla nich żoden interes, drugie, bo im się nie podoba miejska gospodarka, a jeszcze inaksze mówią sobie, że swoje już odsiedziały, więc mogą być odchodzący w spokoju, bo kuždy z nich pamiętał o sobie i swoich jenteresach.

Teraz kolij aby i inni mogli się być do żłobu dostajoncy i pokozali światu, że i oni mają chyně do pracy dla ogólnygo dobra.

Opruźniony jest tyż fotel jednygo z „wicków" trza się umieć ino wtrynić do Rady. a bedzie możno siedzieć se spokojnie i wygodnie.

Trza mieć jednak makówę na karku nie tylko od noszynio szabaśnika, aby wykalkulować jak się człowiek mo być do tygo zabirający. Bo u nos są dwie drogi, wiodące do celu. Trza albo ciągiem pyskować i z kożdym się swarzyć albo siedzieć tak cicho, jak z przeproszeniem fijołek w trawie. W pirwszym wypodku postarają ci się zatkać gębe byś dużo nie mógł godać i skoro wlozłeś między wrony, tak krakoj, jak i one, w drugim, powiedzą sobie, że to klawy chłop, który wody nikomu nie zmąci i drugiemu w grabę nie spoziro, więc warto go mieć między sobą.

Co z tego wybrać, to sęk a w tym sęku z przeproszyniem dziura. Ale zdaje się że ten drugi sposób jest bardziej klawy bo szkoda se jadaczke strzępić po próżnicy.

Choć mi za tem Ferdek nie Wicek, zgłoszom moją kandedaturę na radcę mijskiego i proszę P. T. publiczności i Wielebne Duchowieństwo o poparcie, jako że to „bez ludzi do ludzi, a bez Swiętych do nieba".

Mowę kandydacką zaczynam już grypsać na razie mogę tyle tylko puścić pary, że mojem dążeniem będzie zawsze stać twardo na straży swych własnych jenteresów, a drugim w drogę nie włazić, i nie zazirać im tam, gdzie nie potrza.

Porządek jestem bardzo lubiący, będe też z taką samą leguralnością, jak i inni radce na posiedzenia chodzący, chyba, gdyby mi jakoś niespodziwano przeszkoda staneła na drodze. A taką może być jakieś insze, ważnijsze zajińcie, śmierć lub choroba, albo, gdyby mnie wsadzili do ula, bo to nieszczyńście chodzi po ludziach nie po lesie, a nawet radców miejskich nie oszczyndzo.

Spodziewam się że zaufanie kolegów posadzi mie na fotelu „wicka" opróżnionym przez śmierć ś. p. dr. Bandrowskiego.

Urzyndować będe zawdy bardzo pilnie, i już pierwszygo dnia koże sobie wywiesić na drzwiach tablice, że strony jenteresowane przyjmuje w biurze od tyj do tyj godziny, a u Siapsi od tyj do tyj.

Będe żądający aby na kuždych drzwiach była taka karta, niech kužden wi, gdzie mo szukać się urzędnika, bo trudno oblecieć za nim wszystkie kirnie, jeżeli się mo pilny interes. A Pan Bóg raczy wiedzieć, czy on urzenduje u Kosza, Suskiego, czy puściuł się jeszcze dalej i modli się „pod Obrazem" lub odpoczywo pod „Palmą".

Pod tym względem musi być najporządniejszy porządek, aby strony nie miały powodu do narzekania, a szmaciarze do grypsanio, że w magistracie robi kužden co mu się podobo, a wszyscy w kuple razem nic...

Dołoże tyż staranio, aby do obsługi maszyny do pisanio były dwie, albo trzy młode, przystojne brzany. Nie mając nic do roboty bedą se gważyć między sobą, a nie będą zawracały gitarę gawrom, na czem ino dobrze może wyńść urzędowanie.

W stosunku do podwładnych, zwłaszcza do rodzaju żeńskiego, będe się staroł być ojcem i zaspokoić ich żądania o ile mi na to naturalnie moje siły i władze (po łacinie zwie się ona potencya...) pozwolą, myśle przecież, znając sie sam dobrze, że nie bedą miały powodów do narzykanio... chyba... gdyby znów jakiś wypadek stanął na przeszkodzie. Ale to jest wtedy vis major, za którą odpowiedzialności nie moge być na siebie przyjmujący.

Z kolegami i podwładnymi będzie zatem zgoda, niczym między ludzkiemi grabami a nogami. Niech nie wie lewica co bierze prawica, a co jest między nogami, to tyż nikogo nie powinno obchodzić.

Co do stosunku mygo do ogółu i mojej miejskiej poletyki zagranicznyj zabiere o tem głos w następnym lumerze, choćem bowiem nie aptykorz z zawodu, lubie pigularską zasadę „co godzine po łyżce", przez dwa tygodnie bedą sie mogli P. T. Wyborcy zastanowić nad przychylnością mojigo programu i czekać cierpliwie na jego dalszy ciąg.

Fryzyerzy.

Mój przyjaciel Ignaś Berski,
Wściekły jest na stan fryzyerski
Ja podzielam jego zdanie,
Bo fryzyerzy — to skaranie!

Brudne mydło w brudnej łapie,
Bruduą brzytwą twarz ci drapie,
Zatnie — powie: „Nic nie szkodzi!...
Dziwny pysk ma pan dobrodziej!

Brudny stolik, prześcieradło,
W brudne patrzysz się zwierciadło,
Oskrobany cokolwieczek,
Płacisz za to sto mareczek!

Bez sumienia i bez serca,
Jest dziś każdy golarz-zdzierca,
Więc ma racyę Ignaś Berski,
Że przeklina fach fryzyerski!

Bez tytułu

— Ależ panie, ta co pan wyrabia?!...

— Daruj moje dziecko, ale mnie karmiono flaszeczką, więc nigdy nie miałem do czynienia z tym interesem.

Także kosz.

— Co? hrabianka dała ci kosza?

— E, to nie, tylko powiedziała mi, że nigdy nie odda ręki durniowi!





Odpust na bielanach.

Jesteś jak grób ów pobielan,
Co pozorami świat mami...
Jedziesz na *odpust* do Bielan,
A *puszczasz* się za dziewkami!

Autentyczne facecye.

Pan S., o którym już nieraz wspominaliśmy, jako o człowieku bardzo dowcipnym, jest nadto biegłym teologiem, gdyż w swoim czasie ukończył szkołę rabinacką. Na „święte rzeczy" zapatruje się jednak dość sceptycznie.

W towarzystwie była raz mowa o cudach, jakie wobec Faraona czynił Mojżesz i Aron, domagając się uwolnienia swych współwyznawców z niewoli egipskiej.

— I co pan na to, naprzykład, że Aronowi zamieniła się w ręku laska we węża.

— Laska? — spytał.

— Ja w to wierzę — pan S. na to — ale tylko na pięćdziesiąt procent... Aron miał w ręku laskę i nią wymachiwał, bo my lubimy mówić z rękami i dlatego się przeląkł Faraon.

* * *

— Dotąd słyszało si — mówił ten sam — że ogrodnik *szczypi dżywki*. Teraz, na zarządzenie ministra zdrowia będą *szczypać* także i nauczyciele. Ale nie z palcami, tylko z krowiankiem.

Skrócenia.

Dziś weszły w modę skrócenia, któremi określa się nazwy różnych instytucyi, przedsiębiorstw itd. Nie jest to zresztą nic nowego. Już za austryackich czasów znane były inicyały D. u. p. a., co oznaczało: Dziennik ustaw państwa austryackiego.

Obecnie jednak zaczynają one i w potocznej mowie wchodzić w życie.

W knajpce zjawia się pewien jegomość i zwraca się do przyjaciela z propozycyą:

— K. c. d.! (Każ co dać!...).

A ten mu na to:

— N. d. d. (Nos do... duszy!...)

— Bodaj szklankę piwa!...

— Ani mi się śni!... Dawniej, gdy piwo było „BB", to i owszem!... Ale dziś, gdy jest „dd", nie mam zamiaru brać na siebie odpowiedzialności za twe zdrowie!...

— Co znaczy „BB", to wiem... Nie wiem jednak, co masz na myśli, mówiąc „dd"...?

— To ma znaczyć, że to obecne piwo jest „do dyabła"... Choć jest ono równocześnie i „BB", gdyż... drze bebechy!....

Grzeczny kelner.

— Więc wy — pyta gość — napiwków obecnie nie bierzecie?

— Nie, panie dobrodzieju — kelner na to. — Chyba, gdyby gość dawał... Zbyt dobrze jestem wychowany, bym mu miał robić przykrość odmówieniem przyjęcia...

Szczera odpowiedź

On: Więc pani dyrektorowa na **p** usiądzie przy mnie do kolacyi?

Ona: Na **p** to będzie trudno, ale prędzej na **d**!...



Z listów Hermogenesa Klapy.

Kochana Redakcyo!

A zatem (proszę nie uważać tego przypadkiem za fatalną omyłkę druku!...) jestem, a raczej byłem w Paryżu, a potem musiałem wrócić do Pragi, aby pocieszyć Benesza, który, na wiadomość, że byłem, ale zbyt prędko opuściłem Pragę, nie mógł tego znieść (choć on nie kura a takie zmartwienie nie jajo...) i postanowił życie zakończyć samobójstwem, co byłoby Czechosłowacyę naraziło na nieobliczalne szkody, gdyż w całem państwie drugiego takiego nie ma!... Są wprawdzie i inni, ale tylko podobni, są między nimi muzykanci i złodzieje, ale takiego, jak on, polityka z krwi i kości, stanowczo między nimi brak i nie znajdzie, choćby go szukał z lampą elektryczną o sile stupięćdziesięciu świec.

Dr. Benesz, jak się pokazało, otrzymawszy odemnie list, przeczytawszy go, tak sobie treść wziął do serca, iż ekspresa w przystępie nadzwyczajnego rozżalenia wyrzucił, ani halerza nie dawszy, za drzwi, a sam przez dwie godziny bił się pięścią w głowę (nic mu jednak nie zaszkodziło, ma bowiem, jak każdy Czech twardą...), zastanawiając się nad tem, kto przyjeżdża i kto zrobił „klapę“, wyleciało mu bowiem z głowy, że tak ja się nazywam. W pierwszej chwili sądził, że to telegram od teściowej, która właśnie miała go odwiedzić, a słowo „Klapa!...“ dopisał celem wyrażenia współczucia dowcipny telegrafista.

Oczy, a raczej mózgownicę otworzył mu dopiero list, przyniesiony z dworca przez ekspresa.

Jak już zaznaczyłem, wyrzucił go za drzwi (naturalnie ekspresa, nie list...), potem rzekł do siebie:

— Ani myślałem Benesz, że z ciebie taki osioł... — postanawiając zakończyć życie samobójstwem, aby raz wreszcie przerwać ten szereg niepowodzeń, które mi stale towarzyszą.

W tym celu poszedł na most na Wełtawie i chciał się rzucić w jej nurty, co jest tam w modzie, wytłómaczono mu bowiem, że celu nie osiągnie, a ktoś przytoczył przysłowie, że „co ma wisieć nie utonie“, szkoda zatem jego zabiegów. Łatwo natomiast po takiej kąpieli nabawić się kataru, a pozbyć się go trudno.

Przyznał racyę, z samobójstwa zrezygnował, do mnie zaś wystosował do Paryża list niepłacony, z prośbą, bym, niech kosztuje co chce, odwiedził Pragę i to w jak najkrótszym czasie, w przeciwnym razie bowiem nie ręczy mi za siebie, ani za następstwa, jakie mogłyby z tego powodu wyniknąć i stać się powodem nowych zawikłań politycznych i tarć, których unikać jest przecież mym obowiązkiem.

Tak mi do uczucia przemówił, że nie czekając nawet na obchód stuletniej rocznicy śmierci Napoleona, złożyłem konkolencyę republikańskiej Francyi z powodu śmierci cesarza, obiecując, że w następny, za lat sto wezmę już osobisty udział i wyjechałem najbliższym pociągiem do Pragi, aby się znaleźć przedtem w Doorn w Holandyi, dokąd zaprosił mnie ex-cesarz Wilhelm, bawiący tam na emeryturze. Nie odmówiłem zaproszenia, zwłaszcza, że to teraz okres kwitnięcia hyacyntów, a kilka pięknych okazów ofiarowała mi swojego czasu królowa holenderska, polecając, bym się po takowe zgłosił w swoim czasie w Harlem, a przy tej sposobności ją odwiedził, gdyż ma mi coś ważnego powiedzieć.

Z Paryża zatem drogą na Holandyę i Hagę, gdzie królowa obecnie bawi, pojechałem do Pragi, gdzie jak mi doniesiono, Benesz dzień i noc wysiaduje na dworcu by mnie nie puścić, gdybym nadjechał.

Z Harlem zabrałem hyacynty, w Hadze zaś spotkałem królową, z którą rozmówiłem się, treścią rozmowy nie mogę się przecież podzielić z szerszym ogółem, gdyż dotyczyła ona tylko nas dwojga. Wchodzi tu wprawdzie w grę i ten trzeci, a tym jest jej małżonek, mogę jednak tyle tylko powiedzieć, że tu idzie o zrobienie mu pewnej niespodzianki, do czego królowa potrzebowała człowieka poważnego i doświadczonego.

Z Hagi pojechałem do Doorn.

I dobrze się stało, że tam pojechałem, gdzie mnie oczekiwano bardzo niecierpliwie. Ilekroć zadzwonił ktoś do bramy, cesarz pytał się, czy to przypadkiem nie Klapa — a gdy mu szambelan doniósł, żem już przybył, zawołał:

— Dawaj go tu, ale zaraz!...

Zastałem go w ogrodzie, gdzie teraz spędza czas prawie całymi dniami. Ma dwa mrowiska i obserwuje bacznie walkę mrówek, robiąc różne spostrzeżenia, z których zamyśla skorzystać, jeśli mu się uda powrócić na tron. Siedzi na małym stołku polowym w pełnym uniformie bojowym, obok stoi adjutant i oficer ordynansowy, którego na razie zastępuje mały synek poprzednika. O charakterze jego urzędniczym świadczy chorągiewka, jaką jest z tyłu ozdobiony. Kopią wspólnie dla mrówek rowy strzeleckie, cesarz poluje na nich za pomocą różnego rodzaju gazów trujących własnego wyrobu (aprowizacya w Holandyi jest dość mizerna, więc i wyrób gazów napotyka na trudności...), jednem słowem mają w czasie pokoju i neutralnym kraju wojnę, o której cesarz ma podobno napisać dzieło strategiczne, o ile tylko zgłosi się nakładca.

Gdym się pokazał, orzekł, że mrowiska nie zwyciężył i polecił mi na gałęzi nad niem umieścić żelazny krzyż za waleczność.

Z ogrodu udaliśmy się do pałacu na przyjacielską pogawędkę.

— Dziękuję ci, mój drogi Klapa, że nie zapomniałeś o biednym wygnańcu!... — mówił. — Obecnie nie mam nikogo zaufanego prócz ciebie... Wiesz, że straciłem żonę...

— Wiem — odpowiedziałem. — Miałem nawet zamiar wybrać się na pogrzeb nieboszczki, świeć Panie Boże nad jej duszą kolorowemi latarniami — niestety, praczka nie odniosła na czas kołnierzyków.

— Ona cię biedna kochała i ceniła i zawsze mówiła, bym twych rad słuchał... Szkoda, że się tak nie stało...

— Oj, szkoda!... Dziś Europa wyglądałaby inaczej, a wasza cesarska mość siedziałaby sobie w Berlinie...

Westchnął i pociągnął nosem, co jest u niego oznakami wzruszenia.

— Wiesz, dlaczego cię zaprosiłem do Doorn?... — zapytał po chwili.

— Nie wiem!...

— To dziwne!... A już myślałem, że ty wiesz wszystko... Muszę ci się przyznać w sekrecie, że ta samotność zabija mnie, że zatem postanowiłem jak najrychlej...

— Ożenić się... — przerwałem.

— Zgadłeś!... I na ciebie padł wybór...

— Nie może być?... Ja jestem przecież rodzaju męskiego, choć mam żeńską końcówkę, i do tego się nie nadaję...

— Nie rozumiesz mnie!... Chciałbym, byś mi wskazał odpowiednią żonę...

Zastanowiłem się na chwilę, poczem rzekłem:

— A gdyby tak wdowa po ś. p. Mikołu Czarnogórskim?...

— Tak!... To byłaby dla mnie odpowiednia partya... Niema zbyt wielkiej różnicy wieku, pani w pełni sił, a i ja, choć niby emeryt, nie jestem jeszcze całkiem do niczego... Nawiązałoby się w ten sposób stosunki z całą Europą, a chyba Lloyd George zgodziłby się na to, bym z nią razem osiadł w Cetynii i bodaj tam rządził, gdyż bez tego nie mogę wytrzymać... Mój drogi!... Zbadaj sprawę, ale tak delikatnie, aby nie wyglądało, że to ja chcę.

— Już ja to tak pokieruję, że babina ani się spostrzeże, jak się sama oświadczy... Wprawdzie mi to nie na rękę, gdyż jechałem właśnie do Pragi, ale trudno, trzeba będzie zboczyć z drogi do Włoch, gdyż tu wdowę po Mikołaju z pewnością zastanę.

W Doorn panuje ciężka żałoba. Do obiadu podają tylko czarne piwo, miny smutne, co jednak nikomu nie sprawia trudności, gdyż mężczyźni mają wogóle nosy spuszczone na kwintę, a damy dworu, choć się i uśmiechały, robiły wrażenie, dzięki swej urodzie, że płaczą...

Z Doorn zatem przez Włochy, jadę do Pragi, ciekawy bardzo, jak się też wywiąże z roli dziewosłąba...

Nie nowina to dla mnie, powinno zatem udać się i tym razem.

O następstwach doniosę w następnym liście, tymczasem... dajcie pyska!... *Klapa.*



Teatr w Toruniu.

Gród, gdzie zrodził się Kopernik,
Gród, co słynął przez swój piernik,
Mając przeszłość swą na względzie,
Teatr własny wnet mieć będzie!

Dziś rozważań przyszła pora:
Kogo dać na dyrektora?
Bardzo liczni kompetenci,
Ale który z nich się wkręci?

Nie Korecki, bo radykał,
Nie Kończyński, boby brykał,
Nie! z tradycyi już wynika,
Toruń — miejsce dla piernika!

Muszę przyznać, gdy się patrzę,
Że pierników dość w teatrze,
Lecz nie powiem, bo to zgroza,
Bo „nomina sunt adiosa“!...

Napis na sklepie cyrulika.

Bańki, pijawki stawia,
Krew puszcza,
Ząb wyrwie gdy boli,
Szprycą w..... strzeli,
I brodę ogoli!

Autentyczny napis.

Tu mieszka pieczątkarz, który za bezcen *rżnie* na kamieniu.

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie.



— Wie pani, że to aż nieprzyzwoicie, nosić tak przyzwoitą toaletę, która nic nie wystawia na widok publiczny...
— To pan widocznie zapomniał, że dziś dzień bezmięsny.